

PROLOG

Nikt nie lubi być nazywany zakutą pałą, idiotą czy wręcz złodziejem. Mats Wallin wziął głęboki oddech, poprawił okulary na nosie i docisnął pedał gazu. Przy dłuższych trasach w chłodne dni w jego volvo śmierdziało starymi trampkami.

Większość kolegów z hobbyistycznego klubu archeologów i historyków z Västra Götaland dawno się od niego odwróciła. Kiedyś na zebraniu zarządu zarzucili mu „patologiczny upór” i „kłótniwość”, gdy nie chciał ustąpić w pewnej sprawie, w której oczywiście miał rację. Były to absurdalne oskarżenia, ale naturalnie nie obchodziło to nikogo oprócz Wallina.

Później pozbawiono go członkostwa, bo rzekomo szkodził reputacji stowarzyszenia, choć przecież to on zainicjował i zorganizował wykopaliska w pobliżu starego klasztoru w Gudhem. Jak się potem okazało, było to najważniejsze znalezisko w historii klubu.

Jakiegokolwiek pojęcie, o co tak naprawdę chodzi, wydawał się mieć tylko pewien dziwak z Göteborga, nowy członek, który pojawił się w Gudhem wraz z synem dopiero w dniu, kiedy Wallina wyrzucono z klubu. Podobnie jak Wallin nie

był badaczem, ale miał w sobie to, czego zawsze brakowało innym członkom stowarzyszenia: pasję odkrywania natury rzeczy.

Ale ten mężczyzna też nie był jego sojusznikiem. Istniał tylko jeden człowiek, który zasługiwał na sławę, i nazywał się on Mats Wallin. Tak więc Wallin postanowił zabrać znalezisko z Gudhem (oczywiście, że to zrobił!) – inni nie zasługiwali na ten przedmiot. To było dla niego rekompensatą za hańbę wyrzucenia z klubu: teraz zabytek należał wyłącznie do niego.

Często myślał, że wreszcie znalazł to, czego szukał. Jednak z pozorów istotne wskazówki w końcu rozpuściły się niczym kostki cukru w grzonym winie. Ale nie poddał się. Nawet wtedy, gdy ta obsesja zmusiła go do porzucenia pracy księgowego i przejścia na wcześniejszą emeryturę, co finansowo niemal zrujnowało jego i żonę.

Ale koniec końców się to opłaciło. Gdy wiele lat temu na aukcji w Norwegii nabył prastarą zwierzęcą skórę zapisaną dziwnymi znakami i manuskrypt z odręcznie narysowaną mapą, aż nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Przedmioty niewątpliwie pochodziły z czasów, do których zapomnianych korzeni od dawna chciał się dokopać. W dodatku te historyczne znaleziska niemal nic go nie kosztowały, może z wyjątkiem małżeństwa. Bardzo kochał swoją żonę, ale to, co robił, kochał ponad wszystko. To była cena, którą musiał zapłacić.

Całe lata zajęło mu rozszyfrowanie zakupionego na aukcji rękopisu, nim pojął, co trzyma w rękach. A gdy w końcu

przetłumaczył całość i do pewnego stopnia zrozumiał znaczenie mapy i zapisków na skórze, nagle obudził się w nim jakiś niepokój, nienasycone pragnienie pewności, które pewnego dnia doprowadziło go do wykopalisk w Gudhem.

Co było historią, a co legendą? Czy były w tym jakieś czary? Mats Wallin chciał się tego dowiedzieć.

Historyczne ramy wydawały się zgadzać, ale czy to rzeczywiście była prawda? Dusza króla Olafa I Tryggvasona, zwanego też Wronią Kością, uwięziona w amulecie przetłumaczonym na dwie części, które następnie zakopano daleko od siebie? I moc Wroniej Kości zaklęta w magicznych wersach gęsto pokrywających pergamin sporządzony ze skóry czarnego wilka i rozcięty na cztery części, które po wieczność strzeżone mają być przez czterech nadprzyrodzonych strażników? Cztery Mroczne Pergaminy... tak napisano w rękopisie. A może to wszystko było tylko bajką, kolejną nordycką sagą? Nie, za nic! Kryło się za tym coś więcej, Wallin miał już całkowitą pewność. Taki wysilek byli gotowi podjąć tylko ci, którzy chcieli się upewnić, że prawda na zawsze pozostanie ukryta.

Słońce, jakby wsłuchane w jego myśli i wyczekujące jedynie odpowiedniej chwili na efektowny występ, właśnie w tym momencie wzniosło się nad horyzont i jego światło przebiło się przez chmury. Bezlistne drzewa i wiecznie zielone jodły przesuwały się za oknami samochodu, zmieniając się w rozmytą smugę przygasłych kolorów, które Wallin ledwo zauważał – słyszał tylko monotonny dźwięk silnika. I bicie własnego serca.

Już jakiś czas temu zwrócił uwagę na jaskinię na wschodnim wybrzeżu, w pobliżu Skaftet. Wbrew wszelkim oporom rodziny kupił tam sobie z odpawy mały domek letniskowy. Jaskinia znajdowała się w tym samym miejscu, które opisano w rękopisie i wskazano na mapie, na skalistym wzgórzu, w lesie niedaleko Äskestock. Wallin podejrzewał, że znajdzie tam drugą połowę amuletu, pasującą do tej z Gudhem. Znów złoży przynależne do siebie części.

Jeśli jego przypuszczenia były słuszne, mógł stać się nie tylko sławny, ale może nawet bogaty. Ale co jeszcze ważniejsze, każdemu, kto uważał go za szaleńca, będzie mógł pokazać, kto tu tak naprawdę jest wariatem. Jego spojrzenie padło na chwilę na połówkę amuletu leżącą na półeczce przy dźwigni zmiany biegów. Kawałek kamienia nie większy niż dłoń dziecka i pokryty znakami. Dotknął go, ale natychmiast cofnął rękę. Kamień był bardzo ciepły, prawie gorący. Wallin na moment przytrzymał kierownicę kolanami, zapalił papierosa, wydmuchnął dym przez okno, a następnie uśmiechnął się zadowolony. Od zawsze wiedział, że magia istnieje.

Przed następnym skrzyżowaniem wyrzucił przez okno wypalonego do połowy papierosa i zwolnił. Samochód toczył się jeszcze chwilę, a potem zatrzymał się na poboczu. Silnik rozklekotanego volvo wydawał dziwne odgłosy; wilgoć niespecjalnie mu służyła. Wallin wytarł zaparowane okulary w rogowej oprawie, założył je ponownie, kciukiem poprawił na nosie, przeczesał ręką rzadkie włosy i zapalił kolejnego papierosa. Strzałka na niebieskim znaku drogowym przed nim wskazywała w prawo. Widniał na nim napis „Skaftet 21”.

Zostało dwadzieścia jeden kilometrów. Stamtąd do lasów wokół Äskestock i do jaskini będzie tylko dziesięć minut drogi. Spojrzał na siedzenie pasażera, gdzie rozłożył kilkusetletnią mapę, i niemal czule pogłaskał palcami jej nierówną powierzchnię. Nie zabrał ze sobą pergaminu i rękopisu. Dobrze je ukrył przed ciekawskimi i magicznymi spojrzeniami – bo kto mógł wiedzieć, co by wyzwolił, gdyby to zaklęcie rzeczywiście zadziałało? Mats Wallin wciągnął głęboko powietrze, radośnie uderzył obiema rękami w kierownicę, wrzucił bieg i skręcił w boczną drogę.

Śmiał się jak szalony. Dziś zmieni świat.

Niestety nie miał pojęcia, jak bardzo miał rację.

W przeciwnym razie zapewne by zawrócił.

Prawie trzydzieści lat później...

ROZDZIAŁ I

Padalo tak mocno, że krople deszczu aż bębniły o szyby. Lennart przetoczył się po łóżku w stronę budzika i zmrugał oczy. Wpół do jedenastej. Musiała wyjść parę godzin temu. Uniósł się z trudem i usiadł na krawędzi łóżka. Ostatniej nocy było miło, ale wypił też trochę za dużo wina i za mało spał. A Emma pogrążona była w jakiejś melancholii, smutku, który z każdym kieliszkiem stawał się coraz bardziej widoczny. Z nim było na odwrót.

W ustach miał nieprzyjemny posmak, a język przyklejał się do podniebienia jak nasączony wodą gips. Zwykle by poczuć się lepiej w takich przypadkach, wystarczało proste porównanie kiepskiego stanu raniem z uczuciem uniesienia poprzedniego wieczoru. Jeśli to ostatnie przeważało, to było warto. Z tym mętlikiem w głowie Lennart wstał z łóżka, dotarł jakoś do żaluzji i spuchniętymi oczami spojrzął przez listwy. Szybko doszedł do wniosku, że wczorajszy wieczór był na tyle miły, by wytrzymać pulsujący ból w czole, ale też że trudno o bardziej beznaziejną pogodę na wolną sobotę, dzień, który właściwie

przeznaczał na to, by zrobić zakupy, a następnie usiąść w ulubionej kawiarni i poczytać gazetę.

Spojrzał w dół na Västra Hamngatan i ponad niemal pozbawione konturów fronty domów, które przy pięknej pogodzie wyglądały tak majestatycznie i szlachetnie i ciągnęły się aż do samego kanału. Dziś jednak nie było widać nic z ich wzniosłości. Panował smutek. Tramwaj przedzierał się przez kurtynę deszczu. Lennart wysunął palce spomiędzy listew i szpara się zamknęła. Gazeta mogła poczekać, kawy mógł się napić w domu. Nagle nabrał ochoty na prysznic, a potem chrupkie pieczywo z marynowanym śledziem i sok pomarańczowy. Śniadanie na kaca, jakiego nie zaoferowałyby mu nawet jego ulubiona kawiarenka.

W korytarzu za drzwiami sypialni leżała jedna z czarnych pończoch Emmy. Musiała jej nie zauważyć. Lennart uśmiechnął się przelotnie na myśl o uwodzicielskim wyglądzie siateczki na wysportowanych białych nogach. Po skrzypiącej podłodze ruszył w kierunku kuchni, gdzie włączył radio i nastawił kawę. Potem zniknął w łazience. Wyszedł z niej dobry kwadrans później, ogolony, wykąpany i ubrany w szlafrok. Sięgnął po komórkę. Nowa wiadomość.

Cześć, Lennart.

Chciałam tylko, żebyś wiedział, że wczoraj było bardzo miło. Wszystko było miłe. I bardzo chciałabym się wkrótce znów z tobą spotkać. Zadzwoń do mnie, dobrze? Trzymaj się i do zobaczenia niedługo.

Ścisłłam, Emma

Lennart przewrócił oczami. „Wiedziałem, że tak będzie”, mruknął do siebie i z rezygnacją potrząsnął głową. „Biedna Emma. Będę musiał jej powiedzieć”. Nacisnął „usuń”.

Chwilę później siedział przy kuchennym stole, przed nim stała filiżanka kawy, szklanka soku pomarańczowego i talerz, na którym leżał chrupki chleb z nieprzyzwoicie wielkim śledziem w śmietanie. Radio w tle grało jakieś przeboje. Ręka Lennarta swędziała i piekła. Małe, czerwone krostki ciągnęły się od nadgarstka aż do łokcia.

Zawsze było tak samo. I zawsze tak się działo, gdy tylko pomyślał o zaangażowaniu się w coś więcej niż jedynie przelotny romans czy przygoda. Dobrze by zrobił, kończąc sprawę z Emmą, zanim będzie za późno, a on znów będzie wyglądał jak ciasto z kruszonką, od którego wszyscy będą się z niesmakiem odwracać (albo dla odmiany będą się na niego gapić). Wyglądało to na jakąś niedorzeczną kłátwę, jakąś alergię na związki. Ugryzł chleb ze śledziem, z przyjemnością powoli go przeżuł i popił dużym łykiem soku.

Po śniadaniu ubrał się i z parasolem w ręce wyszedł na chwilę z mieszkania. Przystanął, uśmiechając się pod nosem. Zapach ziół i czosnku dochodzący z dołu wypełniał całą klatkę schodową.

Dla Lennarta ten zapach nierozzerwalnie łączył się z tym budynkiem i teraz z każdym krokiem stawał się coraz intensywniejszy. Nagle, akurat gdy dotarł do następnego półpiętra, po prawej stronie gwałtownie otworzyły się drzwi mieszkania. Należało ono do Marii Calvino. Prawdopodobnie po raz kolejny dała upust swemu talentowi do przygoto-

wywania nieproporcjonalnie wielkich ilości włoskich przy-
smaków i wyczarowała menu, które wystarczyłoby dla całej
drużyny piłkarskiej. A przy tym mieszkała sama, tak jak
Lennart. Od czasu do czasu zapraszała starsze małżeństwo
z naprzeciwka, często gotowała dla jakichś instytucji cha-
rytatywnych i dla potrzebujących, ale Lennart uważał, że
większość z tych potraw musiała kończyć albo w zamrażar-
ce, albo na śmietniku, bo w żaden inny sposób nie potrafił
sobie wyjaśnić, co mogłoby się dzieć z pozostałościami po
tak ogromnych ilościach jedzenia. Ale istniał jeszcze jeden
stały odbiorca korzystający z jej umiejętności kulinarnych.

– *Buongiorno, caro mio* – przywitała Lennarta Maria
Calvino. – Dzień dobry, mój drogi. Co za zbieg okoliczno-
ści. Idziesz na dół? Poczekaj chwilę. Mam coś dla Buriego. –
Rozpromieniona spojrzała na niego ciemnobrązowymi ocz-
kami i wytarła ręce w kolorowy fartuch.

– Cóż, tak właściwie to nie chciałem... – zaczął Len-
nart, ale sąsiadka już zniknęła. Musiała mieć jakiś nad-
przyrodzony dar, bo dom nie był szczególnie akustycz-
ny, a schody nawet nie zaskrzypiały. Lennart, czekając,
wyrzał przez duże okno na klatce schodowej; zacinają-
cy deszcz uderzał o szybę. Kropelki łączyły się w strużki
i spływały w dół, jakby im się spieszyło, by schować się
przed złą pogodą. Gdzieś z głębi mieszkania Marii słychać
było pomruk kuchennego okapu splatający się ze stłumio-
nymi dźwiękami włoskiej opery. Z kuchni dobiegło jakieś
stukanie, potem Maria Calvino na krótko – ale za to z wiel-
kim zapamię – dołączyła do arii (Lennartowi wydawało

się, że rozpoznaje *Traviatę*) i wreszcie wróciła z talerzem owiniętym w folię aluminiową.

– Saltimbocca alla romana, ziemniaki z rozmarynem i zapiekane pomidory z parmezanem. Zaniesiesz mu tę porcję? Proszę. *Grazie, caro*.

– Tak zrobię – odparł Lennart. Twarz Marii niemal płonęła pod gęstymi czarnymi włosami przetykanymi pojedynczymi pasemkami siwizny.

– Kiedy będziesz wracał, weź, proszę, też coś dla siebie. Mam tego mnóstwo.

– Tak myślałem – powiedział Lennart. – Zajrzę później.

– *Bene*. No to do zobaczenia. Muszę wracać do środka, bo spali mi się lasagne na imprezę dla przedszkolaków w Bäckedalen. *Ciao, ciao*.

– *Hej då*. Na razie – rzucił Lennart już do zamkniętych drzwi. Odczekał chwilę z niedowierzaniem, potem pokręcił głową i zszedł na dół z talerzem i parasolem w rękach. Kiedy rozmawiało się z Marią (choć zwykle to ona mówiła), można było odnieść wrażenie, że gra się w filmie odtwarzanym półtora raza szybciej niż normalnie. Wszystko robiła szybciej niż inni i nie wydawało się przy tym, jakby się dokądś spieszyła, lecz raczej jakby miała jakiś wewnętrzny zegar, który odmierzał o dwie godziny mniej. Ponieważ Maria w ciągu dnia miała do zrobienia tyle samo, co reszta ludzi – a zapewne nawet więcej – musiała na przestrzeni lat wyćwiczyć coś w rodzaju rutynowego pośpiechu. Można było zakładać, że nawet spała szybciej niż inni, aby nadrobić stracony czas. Nie dało się nadążyć za potokiem słów płynącym z jej ust, była

niczym werbalny koliber, tyle tylko, że znacznie bardziej kor-
pulentna.

Lennart zszedł na dół i wyjrzał na zewnątrz przez szybę w drzwiach. Nocą, gdy na ulicę padało światło z klatki scho-
dowej, zamieniała się ona w żarzące się oko. Odetchnął głośno. Szwedzka jesień nie pozwalała, by jakiś przypadkowo przepusz-
czony promień słońca zaszkodził jej ciężko wywalczonej repu-
tacji, i pokazywała się od swej najgorszej strony. Lennart otwo-
rzył drzwi i zręcznie przytrzymał je stopą. W twarz uderzyło go
zimne, wilgotne powietrze. Szybko rozłożył parasol, ale nie na
wiele się to zdało. Do sklepu Buriego było tylko dziesięć metrów.
Na szczęście Lennart nie musiał przechodzić na drugą stronę
ulicy i mógł tam dotrzeć, trzymając się blisko ściany domu. Ale
gdy ramieniem popychał drzwi do sklepu, nogawki jego spodni
i tak pokrywały ciemne, mokre plamy. Rozległ się demoniczny
chichot, który brzmiał jak śmiech jakiejś żalostnej czarownicy
z poważnymi problemami psychicznymi. Buri Bolmen wyjaśnił
mu kiedyś z dumą, że to amerykański halloweenowy dzwonek
na baterie. Cieszył się jak dzieciak za każdym razem, gdy ktoś
nowy otwierał drzwi i aż podskakiwał ze strachu.

– Co za wstrętna pogoda! – jęknął Lennart, zamknął za
sobą drzwi (czarownica zachichotała raz jeszcze) i umieścił
złożony parasol w stojaku z kutego żelaza zdobionym czasz-
kami i gębami jakichś demonów. Obok stał regał z podnisz-
czonych okrętowych desek, a na nim cała masa najróżniej-
szych kryształowych kul.

Lennart przeczesał wilgotne włosy i rozejrzał się za wła-
ścicielem sklepu; nikogo nie dostrzegł. W Bolmens Skämt- &

Förtrollningsgrotta – Grocie Śmiechu i Czarów Bolmena – było pusto, co zresztą często się zdarzało. Nie po raz pierwszy Lennart zadał sobie pytanie, z czego utrzymuje się stary Bolmen. Mieszkania w tej dzielnicy uchodziły za jedno z najbardziej pożądanych w całym mieście, ta ulica zaś, Västra Hamngatan, należała do najdroższych w tym i tak absurdalnie drogim zakątku Göteborga. Lennart nie miał pojęcia, jaki czynsz płaci Buri Bolmen, ale potrafił to sobie wyobrazić, bo wiedział, ile sam musi płacić za swoje cztery pokoje na drugim piętrze. Sklep miał doskonałą lokalizację w prestiżowej i wspaniale odrestaurowanej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Sam Bolmen zajmował małe mieszkanie, do którego przechodziło się z warsztatu na tyłach sklepu. Niemniej cały lokal był z pewnością dwukrotnie większy od mieszkania Lennarta, a więc ponaddwukrotnie droższy. Można było tu sobie wyobrazić oddział banku, restaurację wyróżnioną gwiazdką, sklep z antykami czy galerię, której klienci płaciliby pięćset tysięcy koron za obraz przedstawiający mały niebieski kwadrat. Ale na pewno nie sklepik z magicznymi przedmiotami i śmiesznymi gadżetami, który oferował tylko bibeloty i kicz!

– Panie Bolmen? – odezwał się w półmroku Lennart. Usłyszał dobiegające z głębi sklepu skrobanie, młaśnięcie, rżenie i cichą muzykę, jazz albo swing. Ktoś otworzył szufladę. A może to nie była szuflada, tylko drzwi? – Panie Bolmen? – powtórzył trochę głośniejszym głosem, lekko zdenerwowany. Nic się nie poruszyło. – Jest pan tu? Mam dla pana obiad. Od pani Calvino.

Wciąż cisza.

Lennart szukał jakichś oznak życia, ale niczego nie dostrzegął, bo lokal był po prostu za bardzo zagracony. Jedyne wystawki w dziesięciu witrynach narożnego sklepu, ustawione w dwumetrowych oknach zwieńczonych łukami, zachowywały jakieś minimalne pozory porządku. Resztę przestrzeni z towarem wypełniało mnóstwo gratów i rupieci. Regały z setkami, a może nawet tysiącami małych przedmiotów zamieniały sklep w prawdziwy labirynt. Wisiorki z runami i lecznicze kamienie leżące obok wampirzych kłów i dekoracji ze sztucznych kwiatów; magiczne różdżki i zaczarowane zwierciadła obok plastikowych noży i pokrytych sztuczną krwią siekier, które można sobie nałożyć na głowę, żeby kogoś przestraszyć. Skrzynie z (przypuszczalnie) podwójnym dnem i tajemnymi skrytkami obok piłek żonglerskich i kart do tarota, fiolki na magiczne eliksiry obok dzbanów i kubków wyglądających tak, jakby były pełne wody, ale z których woda nigdy nie płynęła, prastare (albo postarzone) cylindry obok masek trolli (pewnie masowa produkcja z Chin). Z sufitu zwisały plastikowe nietoperze, latające miotły, smoki, modele statków powietrznych nasuwające skojarzenia z projektami pijanego Juliusza Verne'a oraz olbrzymi, powgniatany miesięczny teleskop. Ściany obwieszane były plakatami z wszelkiego rodzaju dziwacznymi istotami. Dalej wisiały obrazy olejne, głównie z motywami z mitologii skandynawskiej, ale na niektórych widniały blade piękności o świetlistych obliczach, spowite w zwiewne tkaniny.

A to był tylko niewielki fragment przestrzeni, jaki Lennart widział, stojąc przy drzwiach. Niektóre rzeczy były sta-

re, inne nowe, część z nich może miała jakąś wartość, ale większość stanowiły tanie śmieci – był co do tego absolutnie przekonany. Wszystkie te małe i duże artykuły łączyły jednak dwie rzeczy.

Po pierwsze, pochłaniały one i tak słabe światło wpadające przez sklepowe okna; im dalej w głąb pomieszczenia, tym było ciemniej, jakby gdzieś tam na tyłach zapadł już zmierzch. Nie mogły tego zmienić nawet trzy żyrandole z czerwonymi, migoczącymi żarówkami w kształcie świec, które ledwo oświetlały tapetę w ciemnozielone pasy; wśród roztańczonych cieni tu i ówdzie dawało się dostrzec fragmenty tęczy z rozszczepiających światło kryształów.

Po drugie, panował tu bardzo specyficzny zapach. Lennart nie potrafił dokładnie powiedzieć, co przypomina mu ta woń. Była jak połączenie jarmarku, piwnicy i strychu, choć w sumie sam nie umiałby opisać, jak pachnie strych.

Nagle jego nogi dotknęło coś ciepłego i włochatego. Towarzyszyło temu gulgotanie, które brzmiało tak, jakby gęsty szlam próbował się przecisnąć przez zapchany odpływ wanny. Wystraszony uskokzył na bok i spojrzął w dół na czarno-białą szachownicę kafelków.

– Rany, Bölothorn, ty grubasie! – wyrwało mu się. – Przestań wreszcie się tak skradać. A swoją drogą ciekawe, jak ci się udaje tak cicho poruszać przy takiej wadze i charczeniu.

Pies u stóp Lennarta spojrzął na niego. Przenikliwie. Nie wykazywał najmniejszych oznak radości z tego spotkania. Żadnego sapania ani merdania ogonem. I z pewnością nie wynikało to z tego, że przy tak krótkim ogonku nie sprawiało

mu to żadnej przyjemności. Po prostu Lennart niespecjalnie go obchodził; zresztą Lennart miał do psa podobny stosunek. To był brak zainteresowania i sympatii od pierwszego wejścia. Spontanicznie i bez wyraźnego powodu. Coś takiego zdarza się między ludźmi, więc niby czemu nie między człowiekiem a mopsem?

Zresztą pewnie i tak nie był rasowym mopsem, choć Buri Bolmen niezmiennie i z dumą tak twierdził. Lennart nigdy nie protestował. Istota ta, trzeba przyznać, przypominała mopsa, niemniej do jej powstania musiały się przyczynić co najmniej jeszcze dwie rasy albo i więcej. (Być może miały w tym udział nawet inne psokształtne, na przykład szopowate albo morsy. To by było jak najbardziej do pomyślenia!)

Kształtem i rozmiarem Bölthorn ogólnie pasował do klasycznego mopsa. Ale ten pies wyglądał tak, jakby zjadł jamnika szorstkowłosego i w ten sposób przejął nie tylko jego wagę, ale do tego jeszcze się z nim zmieszał. Jego sierść była dłuższa niż u zwykłego mopsa i przypominała pędzel do golenia. Uszy były za duże i wyglądały jak mokre szmatki, a charakterystyczny ogonek był mniej zawinięty, niż być powinien, zupełnie jakby odpowiedzialny za to gen podczas podziału komórki doszedł do wniosku, że nie warto się wysilać.

Bölthorn gapił się na Lennarta, a ten byłby gotów przysiąc, że wielkie, wybałuszone ślepie mopsa na ułamek sekundy rozbłysły.

– Bądź dla niego miły – usłyszał Lennart za plecami i odwrócił się.

– Panie Bolmen, wielkie nieba! Nieźle mnie pan nastraszył.

– Och, wcale tego nie chciałem. Przepraszam, ale byłem na tyłach w warsztacie i cię nie usłyszałem. Czy to od Marii? – Wskazał palcem przypominającym sękatą gałąź na talerz w rękach Lennarta.

– Tak. Mięso z warzywami.

– Pyszności. Dziękuję. – Buri Bolmen jedną ręką odebrał jedzenie od Lennarta, drugą zaś przygładził długą, białą brodę, dzięki której wyglądał trochę jak profesor Dumbledore.

Co dziwne, od samego początku jakoś tak wyszło, że Lennart zwracał się do Bolmena per pan, a ten z kolei mówił do niego per ty, mimo że Lennart od dawna już nie był żółtodziobem. Buri Bolmen o tym wiedział, Lennart o tym wiedział, ale tego nie zmienili. Kiedy Lennart go widywał, zawsze czuł się trochę tak, jakby spotykał po latach starego nauczyciela, do którego w szkolnych czasach miał olbrzymi szacunek. Ale było w tym coś więcej niż respekt; Buri Bolmen miał dla niego coś z dziadka.

– Myślę, że pani Calvino się w panu zakochała – stwierdził Lennart.

Buri Bolmen skinął głową.

– Wiem.

– Wie pan o tym?

– Jestem stary, ale nie ślepy.

– To dlaczego się państwo nie spotkają i nie zrobią czegoś razem? Czemu nie wybieriecie się choćby na wspólny spacer albo do muzeum? A może pozwoli jej pan dla siebie gotować w swoim mieszkaniu? To miałyby dla mnie również tę zaletę, że wreszcie odważyłaby się sama przynosić panu

jedzenie, a ja nie musiałbym ciągle grać roli dostawcy. To znaczy w sumie chętnie to robię, ale oboje państwo jesteście samotni, jesteście już starszymi ludźmi i...

– Myślisz, że nie zostało mi już wiele czasu? – Bolmen uśmiechnął się szelmowsko, co można było poznać po tym, że rząd jego jasnych zębów pojawił się w gęstwinie białoszarej brody, a oczy zabłyśły jeszcze bardziej niż zwykle. – Może masz i rację.

Bölthorn kłapnął zębami, na próżno próbując złapać przelatującą muchę.

– Nie o to mi chodziło. – Lennart próbował jakoś wybrnąć i przestał zwracać uwagę na otyłego psa, który dalej usiłował schwytać latającą proteinową przekąskę. – Po prostu uważam, że mieszkacie tak blisko siebie i w sumie byłoby szkoda.

– Wszystko ma jakiś powód, mój drogi Lennarcie – odparł spokojnie Bolmen i z zakłopotaniem przyglądał brodę.

– A cóż to mógłby być za powód, żeby mężczyzna i kobieta w państwa sytuacji nie mogli przynajmniej spróbować?

– A jak to jest z tobą? Dlaczego ty nie masz żadnej przyjaciółki? – Bolmen niespodziewanie zmienił temat.

– O co panu chodzi? – zdziwił się Lennart.

– No choćby o tę piękną, bladą brunetkę. Co z nią?

– Emma? Ale... ale skąd pan o niej wie?

– Widziałem was. I widziałem, jak na nią patrzysz. Zrobiła na mnie ciekawe wrażenie.

– Widział nas pan? – dopytywał Lennart. – Gdzie i kiedy?

– No to jest twoją przyjaciółką czy nie? – Bolmen świadomie zignorował pytania Lennarta i przekrzywił głowę, tak

że włosy opadły na jego wąskie ramiona. Delikatną głowę zdawał się podtrzymywać jedynie ciemnoniebieski, ozdobiony złotymi gwiazdkami kołnierz satynowej koszuli.

Lennart zawahał się pod baczny spojrzeniem rozmówcy.

– Nie – odparł w końcu i wyprostował się.

– Szkoda. Jestem pewien, że jest bardzo miła. A czemu nie? – nie ustępował Bolmen.

W tym momencie Lennart zaczął się zastanawiać, co właściwie tutaj robi. Pozwalał się przesłuchiwać ekscentrycznemu sąsiadowi, który najwyraźniej go szpiegował, a potem jeszcze wypytywał o sprawy miłosne.

– A czy to ważne? – rzucił opryskliwie. – Myślę, że nic z tego nie będzie. Takie przeczucie. I tyle.

– Och, oczywiście, masz całkowitą rację. – Bolmen znów się uśmiechnął. Podniósł lewą rękę, jakby chciał go uspokoić. – To przecież nie moja sprawa, chciałem ci tylko pokazać, że wszyscy mamy swoje powody. Ja mam mój, a ty masz swój, ale być może te powody są do siebie bardziej podobne, niż myślisz.

– Nie sądzę – powiedział Lennart. Sięgnął po parasol i wskazał na drzwi. Błademu światłu za oknami jakoś się udało choć trochę nadszarpnąć reputację późnej szwedzkiej jesieni. – Muszę już iść, chcę jeszcze zrobić zakupy. Na szczęście przestało padać. *Hej då*, panie Bolmen.

– *Hej då*, Lennart. I przestań drapać się po ręce. To nie daje, tylko ci się od tego pogorszy.

Elektryczna czarownica z importu zachichotała dwa razy na pożegnanie.

ROZDZIAŁ

2

We mgle późnego poranka naprzeciw sklepu Bolmena stał jakiś mężczyzna i kręcił korbą katarynki. Wcześniej, w drodze do Buriego, Lennart nie zwrócił na niego uwagi. Dźwięki żalostnej melodii mieszały się z odgłosami ulicy. Prawdopodobnie głównym źródłem dochodu tego człowieka była litość. Ale dzisiaj nawet to nie działało, bo nieliczni przechodnie, którzy odważyli się wyjść z domu mimo ciemnych deszczowych chmur, w ogóle nie zauważali staruszka w czerwonym fraku, zupełnie jakby był powietrzem. A przecież był tam, po drugiej stronie ulicy; uśmiechnął się do Lennarta i uniósł pognieciony cylinder. Jego ruchy, widziane w przerwach między przejeżdżającymi samochodami, zdawały się zacinać jak w niemych filmach. Cały jego dziwny wygląd sprawiał wrażenie, jakby pochodził z innych czasów, podobnie zresztą jak muzyka z katarynki.

Lennart skinął mu krótko głową. Nagle przed nim pojawił się policyjny radiowóz, włączył niebieskie światła i przyspieszył. Lennart obserwował samochód pędzący drogą w kierunku dworca kolejowego, póki nie zniknął mu z oczu wraz z szarpiącym nerwy wyciem syreny. A potem go замуrowało.

Z niedowierzaniem patrzył na drugą stronę Västra Hamngatan i rozglądał się wokół. Przebrany staruszek z katarynką zniknął, jakby pochłonęła go ziemia. Albo jakby Lennart tylko go sobie wyśnił. Rozproszone promienie swawolnego listopadowego słońca odbijały się w kałużach na asfalcie, woda kapiała z nieszczelnej rynny w rytmie przyspieszonego pulsu. Lennart wsunął ręce do kieszeni spodni i w zamyśleniu skręcił w Drottninggatan.

Ten poranek wydawał się jakiś dziwny.

Mniej więcej w połowie tej wąskiej uliczki, gdzie tylko z rzadka można się było natknąć na jakieś pojazdy, a za to nie brakowało sklepów, restauracji i kawiarni, przystanął przed Svenssons Konditori, cukiernią, która oprócz przepysznych bułeczek z cynamonem, słodczy i najróżniejszych wypieków, oferowała również papierosy, napoje i duży wybór gazet.

Drukowane gazety były anachronizmem, który Lennartowi się podobał, więc się tego trzymał. O tak, uważał, że to nawet szykowne: zamiast jak większość ludzi gapić się w tablet czy telefon komórkowy i mazać po nim palcem, siedzieć sobie z wielkoformatową gazetą i z szelestem przewracać strony, które później się przydadzą, żeby rozpaścić ogień w kominku albo wyłożyć dno klatki z ptakami (przynajmniej teoretycznie, bo Lennart nie miał kominka ani żadnych zwierząt). Stanął przed obrotowym stojakiem i przesuwając palcami po najnowszych wydaniach.

W końcu zdecydował się na „Göteborgs Spegeln”, wsunął gazetę pod ramię i wszedł do lokalu. Choć w tej chwili nie miał jeszcze apetytu, kupił sobie na później świeżutką cyna-

monową bułeczkę (zapach był zbyt uwodzicielski), zapłacił i ruszył z powrotem do domu.

Na Västra Hamngatan przyłapał się na tym, że znów ukradkiem rozgląda się za kataryniarzem. Wszedł na klatkę schodową i na pierwszym piętrze zgodnie z obietnicą zadzwonił do drzwi Marii Calvino, by odebrać od niej jedzenie. Tak jak się spodziewał, najpierw go wypytała, czy zaniósł obiad Buriemu Bolmenowi i czy Buri się z tego ucieszył, a następnie w zdobionych plastikowymi kwiatami pantoflach pospieszyła do kuchni, gdzie Adriano Celentano i wciąż pomrukujący okap starali się, jak mogli. Wróciła chwilę później i wcisnęła Lennartowi w ręce dwa przykryte folią aluminiową talerze. Mrugnęła do niego przyjaźnie, ale wyraźnie dała mu do zrozumienia, że niestety nie ma więcej czasu na pogaduszki – zupełnie jakby to on prosił się o to jedzenie. Bach! – i drzwi się zamknęły.

W mieszkaniu Lennart schował do lodówki porcję saltimocca i o wiele za duży kawałek lasagne, przed którego wciśnięciem nie zdołał się obronić. Usiadł przy kuchennym stole i zaczął przeglądać sobotnie wydanie „Göteborgs Spegeln”. Czytając, w końcu ugryzł kęs wspaniałej cynamonowej bułeczki od Svenssona i z przyjemnością ją zjadł.

Zdziwił się, gdy dotarł do działu gospodarczego. Fotografia otoczona artykułem na pół strony przedstawiała wysokiego, barczystego mężczyznę z charyzmą, która zdawała się promieniować nawet z czarno-białego zdjęcia. Podpis brzmiał: „Harald Hadding, właściciel spółki inwestycyjnej HIC AB, może być z siebie zadowolony – ponownie udało mu się nabyć dwa obiecujące start-upy z branży IT”.

Lennart też był zadowolony. Uśmiechnął się. Tak, Harald Hadding znów to zrobił. Ten facet był po prostu niezły. I nie po raz pierwszy Lennarta wypełniła duma, że pracuje w firmie, którą ten właśnie Harald Hadding wykupił kilka lat temu, całkowicie przeorganizował i doprowadził do sukcesu. Co prawda przejął wówczas tylko połowę personelu, ale za to na znacznie lepszych warunkach. „Ci, którzy dużo wnoszą, powinni też dużo zarabiać” – tak zawsze brzmiało motto Haddinga, a Lennart wiedział, że postawił na właściwego konia i że to była mądra decyzja, by przeprowadzić się do Göteborga i spróbować szczęścia w charakterze konsultanta. Nie żałował, że po studiach opuścił Sztokholm i przybył tutaj, choć to portowe miasto na zachodnim wybrzeżu pod względem powierzchni i liczby mieszkańców przypominało raczej przedmieścia stolicy Szwecji. Zresztą, jaką miał alternatywę? Pracować w wydawnictwie ojca i wydawać jakieś publikacje naukowe, które go nie interesowały, tylko po to, by pewnego dnia wbrew swojej woli przejąć rodzinny biznes? Nie, dzięki! Nawet jeśli rodzice, a zwłaszcza ojciec Lennarta, mieliby nigdy nie zaakceptować, że kroczy własną drogą. A sukces stanowił dowód na to, że miał rację.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

Wytarł usta, wstał i podszedł do komody w przedpokoju. Zawahał się – na krótką chwilę zobaczył twarz Emmy i jej oskarżycielskie spojrzenie – a potem odebrał.

– Tu Malmkvist.

– Cześć, Lennart, tu Emma.

A więc zgadł; lepiej by było, gdyby zapisał sobie jej numer. Lennart milczał. Trwało to o kilka sekund za długo.

– Emma Mårtensson, no wiesz, kobieta, z którą spędziłeś wczorajszą noc, pamiętasz? – doprecyzował głos po drugiej stronie. Brzmiała trochę niepewnie, niemal jakby była speszona.

– Bardzo zabawne! Tak, oczywiście, że pamiętam. Jak mógłbym zapomnieć? U ciebie wszystko w porządku? – Musiał przyznać, że po takiej nocy zabrzmiało to dość głupawo. Poznał Emmę Mårtensson trzy tygodnie temu na firmowej imprezie z okazji rozbudowy siedziby HIC AB. Pracowała tam od niedawna. Spotkali się potem kilka razy, a wczoraj wieczorem wylądowali razem w łóżku. Ręce Lennarta swędziały jak szalone.

– Wolisz, żebym zadzwoniła do ciebie później?

– Nie, nie, w porządku, jestem tylko trochę zmęczony. Miło cię słyszeć. A więc o co chodzi?

– Muszę z tobą porozmawiać.

– O nas? – Lennart drapał się po ręce i skrycie przygotowywał się już do dyskusji na temat związku, który nie istniał.

Tym bardziej zaskoczyła go odpowiedź Emmy.

– Tak, to też... ale nie... nie chodzi o nas... nie teraz... później... ja... – Sprawiała wrażenie rozkojarzonej i zdekoncentrowanej. Emma wyznała mu wczoraj, że w tej chwili jest „trochę przeciążona psychicznie”. Po kilku kieliszkach wina przyznała się nawet, że bierze leki.

– O czym jeszcze chciałabyś porozmawiać? Nie czujesz się dobrze?

– Nie przez telefon – rzuciła krótko. – To zbyt niebezpieczne. Możemy się spotkać? Może dziś wieczorem?

Niebezpieczne? Lennartowi różne rzeczy przemknęły przez głowę, ale musiał przyznać, że Emma absolutnie nie sprawiała wrażenia, jakby była pod wpływem narkotyków albo jakichś leków. W jej głosie dało się co prawda słyszeć podekscytowanie, ale mówiła stanowczo i wyraźnie.

– Dzisiaj wieczorem? Hm... Tak, właściwie to mi pasuje, ale...

– Lennart, natknęłam się na pewne wskazówki i... coś jest nie tak z HIC i z Haddingiem.

– Co niby jest nie tak z HIC? Albo z Haraldem Haddingiem? – zdziwił się Lennart. Przez krótką chwilę się zastanawiał, czy to nie jakiś test lojalnościowy, ale głos Emmy brzmiał przekonująco. Jeśli to, co wiedział o kobietach, było cokolwiek warte, to była ładna i inteligentna, ale w żadnym wypadku nie tak przebiegła, by przeprowadzać takie bezczelne kontrole kolegów z pracy.

– Tylko tobie ufam, Lennart. To naprawdę ważne i pilne – powiedziała błagalnym tonem.

– OK, OK, niech będzie. – Lennart ustąpił, ale wciąż się zastanawiał, czym sobie zasłużył na to zaufanie. – Skoro to dla ciebie takie ważne. Gdzie się spotkamy?

– Znasz Le Président?

– Oczywiście, ten francuski lokal przy Lilla Kyrkogatan, tuż za rogiem. Przypadkiem tak się składa, że to moja ulubiona restauracja.

– Tym lepiej – odparła. – Powiedzmy o dwudziestej?

- W porządku, będę.
- Zarezerwujesz dla nas stolik?
- Mogę to zrobić.
- Dobrze. Aha, Lennart, i...
- Tak?
- Nie mów o tym nikomu, obiecaj mi! To naprawdę ważne.

Lennart aż jęknął w duchu. Pani Mårtensson naprawdę potrafiła budować napięcie.

- Jasne, wszystko zostanie między nami. Obiecuję.
- Dziękuję. Do zobaczenia później. *Hej då.*

Emma się rozłączyła.

Lennart lubił, gdy kobiety rzucały mu wyzwania, ale w tym momencie dominowało przede wszystkim zdumienie. Czego ona od niego chciała? No cóż, przecież się tego dowie, a najgorsze, co mogło mu się przytrafić, to dobry francuski obiad z być może trochę przesadnie poszukującą oparcia, ale atrakcyjną i sympatyczną kobietą. Mimo to w jakiś dziwny sposób przeczuwał, że znajomość z Emmą Mårtensson przysporzy mu problemów wykraczających daleko poza jego przykre dolegliwości dermatologiczne.

Wybrał numer restauracji, zarezerwował stolik dla dwojga, a potem postanowił spędzić popołudnie stosownie do pogody. Położył się na sofie w salonie, dokończył przeglądanie gazety, a potem zdrzemnął się przed telewizorem.

O dziewiętnastej wziął zimny prysznic – dobrze mu to zrobiło – i wybrał się spacerem do restauracji, ciekaw, z jakimi to zagmatwanymi historiami będzie na niego czekać Emma Mårtensson.

Gdy wyszedł na ulicę, zauważył, że w sklepie Buriego Bolmena nadal pali się światło. Zdawało się padać gdzieś z tyłu zastawionej towarem przestrzeni i rozlewało się mleczną poświatą między regałami niczym promienie ukrytego we mgle słońca. Lennart spojrział na zegarek: za dwadzieścia ósma. Pewnie po zamknięciu sklepu Buri Bolmen układał jakieś drobiazgi w pudełkach z towarem. Zakłute pierścienie tutaj, elfie wisioriki tam, magiczne kamienie do czerwonej szkatułki, a sproszkowana mandragora do zielonych, czarodziejskich biopudełek. Lennart niemal widział dziwnego staruszka pochylonego nad porysowanym blatem roboczego stołu – okulary lekko zsunęły mu się z nosa, drobne palce w słabym świetle lampki odkładały artykuł po artykule na właściwe miejsca, choć przecież musiał się domyślać, że nikt nigdy tych rupieci nie kupi.

Nawet jeśli Buri Bolmen czasami był irytujący, Lennartowi w pewnym sensie było go żal. Po prostu miał nie do końca po kolei w głowie, ale było to na swój sposób urocze. Nie robił nic złego poza tym, że zabierał ludziom czas i nieproszony obdarzał ich życiowymi mądrościami i dziwnymi poradami.

Le Président znajdował się niedaleko katedry w Göteborgu, niecałe czterysta metrów w linii prostej od mieszkania Lennarta. Podobnie jak rano szedł Drottninggatan, gdzie o tej porze sklepy były już zamknięte. Z pełnych gości restauracji dobiegał gwar. Oświetlenie lokali zlewało się ze światłem witryn sklepowych i latarni i na ulicę padała ciepła poświata. W połowie Drottninggatan odchodziła od niej Lil-

la Kyrkogatan, prowadząca prosto do katedry. Lennart westchnął z ulgą. Czuł się teraz znacznie lepiej niż rano i nawet zaczynał mieć apetyt.

Pięć minut później stał przed oświetloną ze wszystkich stron reflektorami katedrą. Fasadę pokrywały owalne plamy światła, nadające złocistą barwę klinkierowym cegłom budynku, który wynurzał się z nocnych cieni, tworząc imponujący kontrast z bezchmurnym, rozgwieżdżonym niebem. Lennart trzymał się lewej strony ulicy; przeszedł jeszcze sto metrów i dotarł do celu. Miejsce to potrafiłby znaleźć nawet wyjątkowo nierozgarnięty turysta, który jeszcze nigdy nie był w Göteborgu: nad wejściem powiewała ogromna francuska flaga godna Pałacu Elizejskiego i – podobnie jak katedra – iluminowana.

Kelner, który zdecydowanie wyglądał jak prawdziwy *garçon*, natychmiast powitał Lennarta jako stałego gościa. Lennart podał mu płaszcz, a potem pozwolił się zaprowadzić do zarezerwowanego stolika w rogu, o który poprosił ze względu na dyskrecję – nie wiadomo, o czym pani Mårtensson chciała mu opowiedzieć.

Ale się nie zjawiała.

Lennart coraz częściej zerkał na zegarek i zaczynał się złościć. W końcu o wpół do dziewiątej wyciągnął komórkę i zaczął wstukiwać SMS-a: *Gdzie jesteś? Siedzę tu już* – przerwał i usunął tekst. Nie to nie, pomyślał sobie. Dlaczego niby miałby za nią biegać i pytać ją, o co chodzi? To ona ponoć czegoś pilnie od niego chciała, a nie na odwrót. A on dał się namówić, zamówił stolik i był tu,

gdzie się umówili. Brakowało natomiast niejakiej pani Mårtensson, która nie dość, że nie przyszła, to nawet nie uznała za stosowne, by odwołać spotkanie. Schował telefon z powrotem do kieszeni, zamówił kolejny kieliszek burgunda i postanowił zjeść w samotności. Jesienna sałatka z krewetkami, cholernie dobra bouillabaisse, a później crème caramel i kawa z calvadosem. Emma Mårtensson wciąż się nie pojawiła ani nawet nie raczyła się odezwać.

Był kwadrans po dziesiątej, kiedy Lennart z brzuchem pełnym wspaniałego jedzenia i z niejakim rozczarowaniem ruszył w drogę do domu. Na Lilla Kyrkogatan czuł na twarzy podmuchy zimnego wiatru, który nie po raz pierwszy o tej porze roku przypomniał mu, że wkrótce nadejdzie zima. Jednocześnie ogarnęła go jakaś dziwna, jakby niesiona wiatrem tęsknota za czymś odległym. Na to uczucie właściwie nie było już miejsca w jego pełnym brzuchu, a jednak pojawiło się na krótką chwilę, a potem znów zniknęło.

Gdy Lennart skręcił z malowniczo oświetlonej Drottningatan w Västra Hamngatan, stanął jak wryty. W sklepie Buriego Bolmena wciąż paliło się słabe światło. Czyżby dotarł już do czarodziejskich różdżek sprowadzonych z Azji i wiązał je w pęczki? Lennart przycisnął twarz do wystawy, przysłonił po bokach oczy i spróbował coś dostrzec. Nic z tego. Cienie regałów, cienie dekoracji ściennych, cienie zwisających wszędzie gadżetów i mrugające oświetlenie witryny, które oślepiało go na tyle mocno, że nie widział nic więcej. I nagle wróciło to samo uczucie tęsknoty, które pojawiło się już na Lilla Kyrkogatan – ale tym razem było silniejsze i bar-

dziej wyraziste, nieprzyjemne jak zbyt grubo zmielone ziarna pieprzu między zębami.

Odsunął się od witryny i przeszedł za róg, do wejścia. Zawahał się. Może za bardzo się przejmował? Znow nasłuchiwał. Czy nie słyszał przypadkiem skomlącego psa? Bölthorn? Odważnie napał na zamknięte drzwi, szarpnął je, zapukał i znow nasłuchiwał. Dalej nic. Obok przejechał ciemny samochód dostawczy, za nim taksówka i motocykl, a potem znow zapadła cisza, jak to zwykle bywa o tej porze w mieście takim jak Göteborg. W końcu Lennart, zamyślony i trochę bezradny, ruszył do swojej kamienicy, kluczem otworzył drzwi na klatkę schodową i wszedł na górę.

ROZDZIAŁ

3

Tej nocy Lennarta dręczyły koszmary.

Znalazł się w jakiejś dolinie, którą otaczały dziwaczne formacje skalne, z rzadka porośnięte skarłalymi drzewami sterczącymi z ziemi niczym mściwe szpony. Jakby znikąd dobiegała do jego uszu jakaś straszna melodia. Falami przenikała przez mgłę, która powoli spływała ze stoków i gęstniała przed Lennartem. Ale to potworne rzępolenie coś mu przypominało.

Nagle wzdrygnął się i spojrzał w dół. Był tam Bölothorn! Tłusty mops siedział tuż przy nim i prowokacyjnie się na niego gapił. Wielkie, wylupiające ślepia jak zawsze bezczelnie błyszcząły; pies mrużył oczy i warczał, a na karku zbierały mu się fałdki tłuszczu niczym futrzane kielbaski grubości kciuka. Z wargi zwisała mu strużka śliny. Choć Lennart nie darzył nadmierną sympatią tego pokracznego psa, w tej przytłaczającej scenerii, którą mógłby stworzyć Hieronim Bosch we własnej osobie, był on jedynym znajomym elementem. Lennart nasłuchiwał dźwięków napływających z mgły, która wydawała się pochłaniać czas i przestrzeń, i daremnie próbował zlokalizować źródło tej niewypowiedzianej kakofonii.

– Gdzie jesteśmy? – spytał mopsa. Jego głos brzmiał głucho jak echo w pustym pojemniku na śmieci.

Bölthorn zaszczekał krótko i gardłowo – przypominało to wyrzut.

– Chodź – powiedział Lennart. – Zobaczymy, skąd pochodzi ta okropna muzyka. – Chciał się poruszyć, ale z przerażeniem stwierdził, że to niemożliwe. Miał wrażenie, jakby do podeszwy przykleiła mu się olbrzymia bryła smoły, która trzymała go w miejscu. Jeden krok wymagał tyle wysiłku, co dziesięć normalnych.

Nagle coś się chyba zmieniło. Mylił się? Nie, buczenie i jazgot ustały. Warstwy mgły powoli się rozstały, a w nisko wiszących chmurach ukazała się ciemna postać. Teraz Lennart pojął, dlaczego ta muzyka wydawała mu się znajoma. To był kataryniarz z Västra Hamngatan.

– Hej! – zawołał Lennart. – Hej, gdzie jesteśmy? Pomóż nam pan wrócić do domu?

Kataryniarz milczał i powoli lecz nieubłaganie się do nich zbliżał. Gdy dzieliło ich już tylko kilka metrów, Lennart zauważył, że czerwony frak zastąpiła czarna peleryna, a w miejscu cylindra pojawił się kaptur. Ale nie tylko to sprawiło, że Lennarta ogarnęło śmiertelne przerażenie. Chodziło o twarz ulicznego grajka: skóra była rozdarta, niektóre mięśnie odsłonięte, usta zdeformowane, jakby były z wosku i znalazły się zbyt blisko ognia.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – wyrwało się Lennartowi.

On sam w każdym razie chciał tylko jednej rzeczy: jak najszybciej się stąd wydostać! Zdesperowany spojrzał w dół

na Bølhorna. Ale wydawało się, że psa to wszystko w ogóle nie wzrusza. Obrócił się dwa razy w kółko, a potem, charcząc i gulgocząc, klapnął na ziemię i najwyczejniej zamknął oczy, jakby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Jeszcze raz poruszył prawie prostym ogonkiem i zaczął głośnie chrapać.

Lennart nie mógł w to uwierzyć. Ten kundel naprawdę zasnął! Tak po prostu. Spojrzał przed siebie, na kataryniarza, który w tym czasie zbliżył się na zaledwie kilka kroków. Uśmiechnął się do Lennarta, szczerząc pozbawione dziąseł zęby, i wyszeptał coś, jakieś słowa, których Lennart nie rozumiał i nie miał najmniejszej ochoty zrozumieć. Położył się szybko, zacisnął powieki i zwinął się jak embrion szukający ochrony w łonie matki.

Było zimno.

Strzępy słów kataryniarza stały się wyraźniejsze.

– Lennarcie Malmkviście – udało mu się zrozumieć – miej się na baczności! Przyjdę po ciebie, jeśli nadal będziesz ignorował swoje przeznaczenie! – No dobra. Lennartowi to wystarczyło. Nie chciał, żeby przyszedł po niego ktoś, kto wyglądał tak jak ta istota. A przede wszystkim: co za przeznaczenie? Co to za bzdury? W każdym razie wszystko to brzmiało groźnie i przekonująco. Skupił się na bardzo odległym wspomnieniu. Wakacje z rodzicami na szkierach w pobliżu Sztokholmu. Wynajmowali domek letniskowy. Rodzice byli wtedy tacy młodzi. Sam Lennart miał cztery, może pięć lat. Ojciec wypłynął z nim w morze na ryby. Wtedy wszystko między nimi było jeszcze w porządku. Ojciec i syn w jednej łodzi. Lato

było ciepłe, pachniało życiem i świeżymi truskawkami z bitą śmietaną. Tyle tęsknoty.

– Idę po ciebie, Lennarcie Malmkviście. Zaakceptuj swój los! – wychrypiał kataryniarz i nagle położył na ramieniu Lennarta lodowaty kościsty szpon.

Lennart nie mógł złapać tchu.

– Jaki los mam zaakceptować? – krzyknął. – Co to za brednie? – Odwrócił się przerażony, spróbował strząsnąć z ramienia szkieletową rękę, podskoczył, zrzucił lampkę stojącą na stoliku, pośliznął się, uderzył twarzą o kant łóżka, spadł bokiem na podłogę i stwierdził oszołomiony, że leży na dywaniku z owczej skóry.

Cóż za doskonały koszmar.

Radio z budzikiem pokazywało dwadzieścia po czwartej.

Lennart dotknął miejsca tuż pod prawym okiem, tam, gdzie uderzył się o łóżko. Syknął i zaklął. Bolało jak diabli i zdążyło już porządnie spuchnąć. Chciał zapalić światło, ale nocna lampka nie działała; najwyraźniej żarówka stłukła się przy upadku. Po omacku obszedł łóżko, uderzył o coś palcem u nogi, znowu zaklął. W końcu znalazł włącznik przy drzwiach.

Chwilę później siedział w kuchni ubrany w szlafrok, trzymał przy oku owinięte w szmatkę kawałki lodu, popijał podwójną whisky i dochodził do siebie po tym nocnym horrorze. Śmierć, a przynajmniej jej bliski krewny w czarnym kapturze, w towarzystwie grubego mopsa Buriego Bolmena – rany Julek! Jakie zakamarki mózgu i traumatyczne

wspomnienia musiały sprawić, że wyśnił takie bzdury? Może powoli tracił rozum? Najpierw kataryniarz przed sklepem Bolmena, który rozplynął się w powietrzu, a teraz ten kompletnie zwariowany sen.

Schłodził opuchliznę kolejną porcją kostek lodu, a gdy i te się roztopiły, miał wrażenie, jakby ktoś polał mu okolice oka ciekłym azotem. Wrócił do łóżka.

Obudził się około dziesiątej, pojechał samochodem do Slottsskogen i tam trochę pobiegał. Po powrocie wziął prysznic, zjadł śniadanie, bez szczególnego zainteresowania przejrzał wczorajsze wydanie „Göteborgs Spegeln”, ale nie mógł się skoncentrować, bo nie dawały mu spokoju myśli o Emmie. To dziwne, że się nie pojawiła i nawet nie dała mu znać. Może coś jej się stało? Kilka razy dzwonił do niej na komórkę, ale na próżno.

Lennart przypomniał sobie słowa Buriego Bolmena – „wszystko ma jakiś powód, mój drogi Lennarcie” – ale od razu je od siebie odsunął. Nie mógł powiedzieć jej prawdy. „Mam alergię na miłość” brzmiało w najlepszym przypadku równie głupio jak każda inna tania wymówka.

Może wizyta u terapeuty byłaby jednak dobrym pomysłem? Nonsens. Niby jak to miało pomóc? Przecież sobie nie wmawiał, że ma tę wysypkę. A może mimo wszystko to tylko zbieg okoliczności, że odkąd miał piętnaście lat i po raz pierwszy się zakochał, ta dziwna choroba pojawiała się zawsze przy takich okazjach? I co, jeśli podświadomie wykorzystywał te przypadkowe dolegliwości, bo się bał, że odnajdzie szczęście? Czyżby bał się własnego szczęścia?

Niezależnie od tego, co tak naprawdę wywoływało tę wysypkę, jego ramię przestało swędzieć dokładnie w tej samej sekundzie, w której postanowił, że w relacji z Emmą nie będzie się angażował ani o krok dalej. Tak było lepiej dla nich obojga, bez względu na to, o czym rzekomo wiedziała. Lennart wręcz odnosił wrażenie, że małe, nieprzyjemne krostki zaczynają znikać.

Resztę dnia spędził w gabinecie, odpowiadając na maile i przygotowując dokumenty potrzebne mu do prezentacji pod koniec przyszłego tygodnia. Poza tym w kalendarzu w chmurze, z którego korzystali wszyscy pracownicy HIC AB, miał tylko jeden termin na jutro. *DataMining, analiza baz danych u F.* Niczego więcej Lennart nie wpisał. Nikt w firmie Haddinga nie musiał wiedzieć, kogo pytał o radę, gdy chodziło o złożone problemy, które wykraczały poza jego informatyczną wiedzę. Ostatecznie i tak liczyły się przecież wyniki. I miało to też miły efekt uboczny: znów zobaczy Frederika.

Wieczorem podgrzał sobie saltimbocca alla romana od Marii – porcję, która spokojnie wystarczyłaby dla dwóch grubych włoskich marynarzy. Wypił duży kieliszek czerwonego wina i dość wcześnie poczuł się bardzo zmęczony – zapewne wskutek przejść ostatniej nocy – więc już około dwudziestej drugiej położył się do łóżka, gdzie przez pół godziny snuł jeszcze myśli o Emmie, o swojej przeklętej alergii i o Burim Bolmenie.

W końcu wyczerpany zasnął i tym razem na szczęście nic mu się nie śniło.